

Leszek Kołakowski

Dlaczego cielec? Bałwochwalstwo w obliczu śmierci Boga

Ściśle biorąc, przy założeniu, że Bóg umarł — chociaż ja nie sędzę, żeby tak było — nie ma również bałwochwalstwa, przynajmniej nie ma go w umysłach zabójców. Bałwochwalstwo z definicji jest boską czcią oddawaną czemuś, co Bogiem nie jest, kultem dobrowolnie przeniesionym z właściwego miejsca. Skoro Bóg tylko jest właściwym przedmiotem czci, wszelki inny kult jest nie tylko nieprawomocny, ale grzeszny; wedle Tomasza z Akwinu jest to grzech z wszystkich najgorszy (*Summa Theol.* II II-ae, q. 94). Dlaczego zaś Bóg, jakim pojmuje go cywilizacja chrześcijańska, jest godzien czci, jest to pytanie bezprzedmiotowe; jeśli nieskończony, wszechmocny i bezgranicznie dobry stwórca nieba i ziemi nie zasługuje na cześć, to nic na nią nie zasługuje. Tak przynajmniej się zdaje. Bez Boga samo pojęcie bałwochwalstwa nie ma sensu.

Wedle Dunsza Szkota, Bóg sam nie mógłby unieważnić dwóch pierwszych przykazań Dekalogu; cześć Bogu oddawana, posłuszeństwo i ochrona jego imienia, należą do samej idei Boga, jeśli ta idea zakłada jego stosunki ze stworzonym przezeń światem, a w szczególności jego dziećmi, tego świata mieszkańcami; jest też zgoda wśród myślicieli chrześcijańskich co do tego, że Bóg nie jest nam dostępny taki, jaki jest w ukrytej swojej naturze, w zamkniętości swojej, lecz tylko w zwierciadle swoich stworzeń, że w rzeczy samej *posuit in tenebris latibulum suum*. O tyle, o ile objawia się nam, postrzegamy go w aktach czci. Możemy oczywiście gwałcić przykazania, i nieraz to czynimy, ale nie czynimy bezkarnie; gwałcąc je ranimy, by tak rzec, nieskończoność, albo poświęcamy Boga na rzecz samolubnych naszych interesów, jak gdybyśmy kult prawdziwy zastępowali kultem nas samych. Dlatego święty Paweł, choć może się to dziwne wydawać, na liście czynów bałwochwalczych umieszcza cudzołóstwo, złe pożądania, chciwość. Można sądzić, istotnie, że w kategoriach chrześcijańskich każdy grzech jest czynem bałwochwalczym, skoro każdy zakłada pogardę Boga, odrzucenie go na korzyść innych dóbr, które cenimy sobie więcej.

Wszystko to zdaje się proste, oczywiste i niesporne. Jak we wszystkich sprawach oczywistych i prostych, okazuje się przy bliższym wejrzeniu, że sprawa jest zawiła i wątpliwa.

Co to znaczy czcić coś czy kogoś? Czy akt czci jest czymś, co wypełnia potrzebę, jaką w sobie z natury nosimy, czy jest częścią wrodzonego naszego wyposażenia duchowego? Tak moglibyśmy wnosić z nadzwyczajnej i niepokojącej historii złotego cielca w *Księdze Wyjścia*. Historia jest nadzwyczajna, bo ten czyn bałwochwalczy dokonany był przez Aarona na żądanie Żydów, którzy polecieli mu, by zrobił dla nich bogów; tak więc stworzenie tego „boga” wynikło bodaj z potrzeby Żydów, by czemuś, czemukolwiek, oddawali cześć, choćby czemuś, co nie miało nic wspólnego z ich tradycją i wiarą. Dlaczego cielec? Dlaczego złoty? W jaki sposób Żydzi przyswoili sobie ten niezwykle kult i jak mogli naprawdę wierzyć, że ten kawałek metalu jest boski? Jaką satysfakcję duchową stąd czerpali?

Bóg, albo osoba, którą się czci, nie jest tym samym, co autorytet. Mogę racjonalnie uznać autorytet kogoś, kto po prostu ma umiejętności albo wiedzę, jakich ja nie mam, a potrzebuję: lekarza, który bada moje serce, elektryka, który naprawia moją lampę, tłumacza z języka, jakiego nie znam i tak dalej. Są oni dla mnie autorytetami, ponieważ ja przystaję na ich werdykt, chociaż wiem, że nie są nieomylni. Moja gotowość, by ich słuchać, opiera się na przesłankach empirycznych i jest odwoływalna oraz falsyfikowalna. Bóg, albo ludzie, którym oddaje się cześć, nie są autorytetami w tym sensie. Cokolwiek Bóg czyni, jest dobre z definicji, na mocy jego natury, nie zaś stąd, że ma on przypadkowo jakieś uzdolnienia. Jakkolwiek okropne mogłyby się wydawać niewierzącym sposoby jego rządzenia światem, są one najlepsze, jakie być mogą w oczach czcicieli. „Charyzmatyczny” wódz polityczny ma rację, cokolwiek by czynił: ci, którzy oddają mu cześć, przyznają mu rację z góry; nie ma nic empirycznego w ich adoracji, podobnie, jak w przypadku Boga. Hitlerowi lub Stalinowi oddaje się cześć nie dlatego, że mają rację; mają oni rację dlatego, że są czczeni. Widać podobną postawę duchową w aktach miłości romantycznej, ziemskiego erosu. Osoba kochana ma rację, bo jest tym, czym jest; jej słowa, czy oczy, czy ręce, są godne adoracji, bo są jej właśnie; i głupio byłoby pytać kochającego: „dlaczego ją kochasz?”, jako że nie ma odpowiedzi, bo nikt, ściśle mówiąc, nie zasługuje na miłość kogoś innego; miłość jest dana za nic i za nic odebrana. Te dwa rodzaje czci — mianowicie wodza politycznego lub osoby kochanej — mogą uchodzić za czyny bałwochwalcze *par excellence*, są najbliższe kultu boskiego o tyle, że adoracja, gdy jest bardzo intensywna, wydaje się wypełniać całą osobowość czciciela, tak, jak tego się żąda w kulcie religijnym. Czciiciel wyraża wdzięczność Bogu za samo istnienie Boga, a podobną emocję można wykryć w miłości skierowanej ku osobie ludzkiej. Inne rodzaje bałwochwalstwa — kult pieniądza, natury, narodu, państwa, rozumu, nauki i innych abstraktów — zwykle nie dochodzą do tego poziomu intensywności. Mówimy o obsesji raczej niż o czci.

Są to jednak czyny bałwochwalcze, i tak się je czasem nazywa, jako że Bóg biblijny, Pan zazdrosny, żąda monopolu na cześć. Wymóg ten jednak jest przestrzegany i egzekwowany z różnym stopniem rygoru lub luźności. W bardzo rygorystycznej interpretacji tego monopolu — nie powinniśmy kochać innych ludzi, nawet naszych dzieci czy rodziców, naszych przyjaciół czy kochanków, inaczej, aniżeli za pośrednictwem Boga lub przez odniesienie do niego; innymi słowy, jeśli kocham kogoś, to albo dlatego, że Bóg kazał nam kochać bliźnich, albo dlatego, że samo istnienie tej osoby jest dziełem boskiej łaski, mądrości i woli. Tego rodzaju ostrzeżenia i zalecenia znajdujemy nieraz w pismach mistyków — spekulatywnych czy lirycznych — i w niektórych rygorystycznych kierunkach chrześcijaństwa, jak janseniści i wojujące grupy protestanckie. W rzeczywistości kochać ludzi na rozkaz Boga wydaje się wyczynem dziwnym i zapewne niemożliwym: jakże uczucie miłości może być wytworzone w wyniku posłuszeństwa? (Chyba że chodzi o dziwną postać miłości, której się nie doświadcza, a tylko wyraża w zachowaniu, wtedy jednak mało to ma wspólnego z miłością, jak się ją zazwyczaj pojmuje.) Również kochanie innych ludzi przez odniesienie do Boga nie jest chyba prawdziwym aktem miłości; wtórna cześć oddawana czemuś z tej racji, że to coś należy do Boga, było przezeń stworzone lub jest z nim powiązane, wydaje się rzeczą sztuczną, gdzie nie ma prawdziwej czułości i oddania. Wcale przy tym nie jest pewne, że Bóg, ojciec Jezusa, naprawdę zakazał nam kochać ludzi inaczej, aniżeli przez odniesienie do niego. Na pytanie Faryzeuszy o najważniejsze przykazania odpowiedział Jezus, że są dwa: kochać Boga i kochać bliźniego — a więc dwa przykazania, nie zaś jedno. Innymi słowy, możemy i powinniśmy traktować bliźnich jako cel sam w sobie, jako osobny przedmiot naszego zatroskania i miłości, niezależnie od Boga, i nie ma w tym bałwochwalstwa. Bez tej poprawki chrześcijaństwo byłoby rodzajem religijności smutnej i posępnej; uczono by nas, że kiedykolwiek odczuwamy i okazujemy bezinteresowną miłość i przyjaźń innym ludziom, choćby naszym dzieciom i rodzicom, popełniamy ohydny grzech bałwochwalstwa, chyba że natychmiast poprawiamy się i kierujemy nasze uczucia ku Wszechmocnemu, a wtedy dopiero, w akcie posłuszeństwa, kierujemy je ku innym. Na szczęście ta wysuszona, życia pozbawiona, biurokratyczna wersja chrześcijaństwa nie jest nam narzucana w imię czystości doktrynalnej.

Pojęcie bałwochwalstwa jest potrzebne, a nawet niezbędne, w każdym kulcie religijnym. Jednakowoż czym innym jest powiedzieć: „Boga czcic należy ponad wszystko inne, trzeba poświęcić wszystko, jeśli klóci się z szacunkiem należnym jemu i jego przykazaniom”, a czym innym powiedzieć: „Nie wolno ci szanować, kochać ani być przywiązanym do czegokolwiek oprócz Boga i tego, co przez odniesienie do Boga można szanować — nic nie zasługuje na szacunek lub miłość jako samoistna wartość”. Wedle pierwszej formuły Bóg ma być zawsze na pierwszym miejscu w hierarchii naszych zainteresowań, uczuć i celów, jako że jest w rzeczy samej pierwszy w hierarchii bytu, nic jednak nie przeszkadza nam

szanować i kochać inne rzeczy dla nich samych pod warunkiem, że w myśli naszej i w uczuciach nic nie zajmuje miejsca wyższego lub równego z Bogiem. Druga formuła natomiast nie tylko ustanawia priorytet Boga, ale żąda absolutnego monopolu.

Współczesne chrześcijaństwo, jak się wydaje, rzadko odwołuje się do tej drugiej formuły. Formułę tę łatwo przemienić w slogan obskurancki i antykulturalny, a nawet trudno, by jej tak nie przemienić, jeśli zachowujemy minimum konsekwencji. Cały świat, ku któremu kieruje się twórczość kulturalna zostaje ryczałtem potępiony jako złowroga jaskinia zbrodni i bezbożnictwa. Niektórzy Ojcowie i późniejsi teologowie potępiali z naciskiem straszliwy grzech ciekawości; nic dziwnego, skoro ciekawość właśnie była przyczyną największej katastrofy w ludzkich dziejach; przez nią to prarodzice nasi postanowili skosztować zakazanego owocu z drzewa wiadomości. Bez tego grzechu nie byłoby w ogóle wiedzy, nauki, sztuki, postępu technicznego.

Można by argumentować, że pogarda dla wszystkich dóbr ziemskich jest całkiem zgodna z nauczaniem Jezusa, należy przeto do rdzenia chrześcijaństwa. Powinniśmy spoglądać na życie nasze jako na drogę pielgrzymów, którzy ufają Bogu, oczywiście, ale nie oczekują ziemskiej nagrody za swoje cierpienia i trud. Skoro apokalipsa, dzień porachunku ostatecznego, była bliska stosownie do kazań Jezusa, wszystkie nasze sprawy światowe pokryte były jej cieniem i w naturalny sposób okazywały się nieważne. Jezus jednak, jak sam przyznał, nie znalazł daty powtórnego przyjścia, a ludzkość żyła przez niemal dwa tysiąclecia od czasu jego zapowiedzi. Daremnie potępiać ludzką ciekawość; Bóg najoczywiściej stworzył nas z instynktem eksploracji i trudno sobie pomyśleć, by ten instynkt był karalny lub kończył się nieuchronnie okropnościami bałwochwalstwa.

Najbardziej widowiskowy przypadek bałwochwalstwa wyłonił się w sporze ikonoklastycznym. Jest to interesująca sprawa niezależnie od jej społecznego i politycznego zaplecza. Teologicznie sprawa wydaje się jasna. Biblijny zakaz dotyczący obrazów nie jest w Biblii wyjaśniony, Bóg jednakże nie ma zwyczaju uzasadniania swoich rozkazów, a niektórzy rabini ostrzegali nas wyraźnie, byśmy nie żądali od Boga wyjaśnień lub starali się je wynajdywać. Być może Bóg po prostu przewidział, że gdy obrazy będą dozwolone, artyści nie ograniczą się do świeckich obiektów, lecz będą chcieli przedstawiać różne rzeczy boskie, to zaś łatwo prowadzi do fałszywych kultów. Malarstwo zostało odstawione do dziedziny gojskich zabaw. Kościół chrześcijański w końcu dał swoje zezwolenie, ale niejednokrotnie (między innymi na Soborze Trydenckim) ostrzegał przed nadużyciami: kult relikwii świętych, a także obrazów, nie ma być skierowany ku nim samym jako właściwym przedmiotom, lecz tylko ku Bogu. Ostrzeżenia, jak należało oczekiwać, były próżne. Wierni czcili ikony i relikwie jako ośrodki magicznej siły i oczekiwali od nich cudownych skutków na mocy magicznych mechanizmów. Kult obrazów jest czymś naturalnym: ludzie pragną, by religijne uczucia i modły skoncentrowały się na figurach widzialnych, podczas gdy wszechobecny,

lecz niewidzialny Bóg-ojciec wydaje się nieuchwytnym abstraktem. Mistycy posługiwali się obrazami jako prostymi narzędziami koncentracji, ale ostrzegali, że obrazów nie należy kontemplować lub cieszyć się nimi dla ich estetycznych walorów; toteż korzystali z obrazów, które były estetycznie bez wartości. Najbardziej intensywnymi ośrodkami kultu są, jak łatwo zrozumieć, cudowne obrazy Marii Panny: łatwo zrozumieć, ponieważ Matka jest zawsze najbardziej niezawodnym źródłem pociechy, ostatecznym schronieniem wobec życiowych udręczeń; nie trzeba więcej, by wyjaśnić, dlaczego Maria Panna jest tak wszechobecna w życiu ludu katolickiego. A masowa popularna dewocja w ośrodkach kultu maryjnego dowodzi, że Bóg jednak nie umarł, na przekór akademickim wyrokom. Wydaje się nawet, jak gdyby Maria prowadziła wielorakie życie w licznych sanktuariach, gdzie jest otaczana czcią: jest Maria Panna z Guadalupe, z Fatimy, z Częstochowy, z Lourdes, i tak dalej, i różnią się one nieco od siebie w skuteczności swoich interwencji i usług. Protestanci zawsze potępiali kult maryjny jako jaskrawy przykład gorszącego bałwochwalstwa papistowskiego, wręcz jako próbę, by Tróję Świętą zastąpić przez nieświętą czwórcę, dodając do niej jeszcze jedną postać, i to płci żeńskiej. Sztuka europejska doznała ciężkich ciosów od protestanckiego ikonoklastycznego wandalizmu w niektórych krajach, trudno jednak nie przyznać, że mieli oni pewne dobre argumenty z punktu widzenia chrześcijańskiej tradycji teologicznej. *Hi tres unum sunt* — to sławne apokryficzne *comma Johanneum* stworzyło dość niemożliwych zagadek i problemów dla uczonych i kapłanów Europy chrześcijańskiej i może nie potrzebujemy mnożyć naszych teologicznych kłopotów.

Namiętności ikonoklastyczne zapewne nie umarły, a Alain Besançon, w swojej książce *Image Interdite*, odkrywa je nawet u źródeł dwudziestowiecznego malarstwa abstrakcyjnego w Europie.

Zarówno w kategoriach interpretacji teologicznych, jak też we wrażliwości religijnej, bałwochwalstwo jest odwrotnością świętokradztwa. To ostatnie polega na dotykaniu czegoś, co jest niedotykalne, na degradowaniu tego, co święte, na traktowaniu czegoś świętego jak przedmiotu światowego; ignoruje się świętość i odmawia jej należnego respektu. To pierwsze polega na przypisywaniu świętości czemuś, co jej nie ma, na rozciąganiu jakości *sacrum* na rzeczy, które nie są tego warte, na oddawaniu religijnej czci przedmiotom świeckim. Oba rodzaje grzesznych czynów zakładają, że coś w rzeczy samej jest święte, coś jest godne czci. W hipotetycznym kompletnie sekularnym społeczeństwie, gdzie nic nie jest święte, nie ma ani bałwochwalczych, ani świętokradczych czynów. Dla ludzi całkowicie wycutych z wrażliwości religijnej oba pojęcia tracą sens: nic nie jest świętokradcze, nic nie jest bałwochwalcze. W oczach ludzi religijnych, przeciwnie, zarówno świętokradztwo, jak bałwochwalstwo są wszechobecne w społeczeństwie świeckim: to, co ludzie uwielbiają i czczą nie jest Bogiem, tak więc każdy akt czci jest z konieczności bałwochwalczy; skoro zaś ludzie są w najlepszym wypadku obojętni na jakość świętości, popełniają świętokradztwo bezustannie, niekoniecznie tego

świadomi. Świątokrądstwem jest na przykład odwiedzać kościół tylko po to, by podziwiać jego architekturę i malarstwo, i może nawet słuchać muzyki sakralnej z uwagi na jej wartości artystyczne lub czytać Biblię dlatego, że jest to takie wspaniałe dzieło literackie, itd. W bezbożnym społeczeństwie ludzie nadal używają słowa „bałwochwalstwo”, ale sens jego jest, jak wszystko, strywializowany i mglisty; ludzie rzeczywiście nazywają czasem bałwochwalstwem cześć oddawaną rzeczom, które w ich mniemaniu na to nie zasługują. Tak to z punktu widzenia ideologii liberalnej kult narodu albo *führera* może być piętnowany jako bałwochwalstwo, nie dlatego jednak, że przeciwstawia się go czci boskiej, lecz z tej racji, że ubóstwia się rzeczy inne, aniżeli na przykład wolność, która w oczach liberala wciela wartość najwyższą. Innymi słowy, w wieku ogólnego relatywizmu kategoria bałwochwalstwa może być czasem używana po to, by ganić innych, którzy nie dzielą naszej hierarchii dóbr. „Bałwochwalstwo” w takich kontekstach staje się pozbawionym znaczenia wyzwiskiem.

Są jednak zjawiska masowe, które naprawdę zasługują na tę nazwę, i są one istotną częścią naszego życia: ubóstwienie wielkich bohaterów naszego czasu — piosenkarzy rockowych, aktorek filmowych, wielkich sportowców. Takie akty kultu nie tylko są zbiorowe, ale wciągają masy ludzi, którzy przez to dostępują dziwnego uczucia zbiorowej tożsamości. Jest to istotnie dziwne dla ludzi, którzy stoją na zewnątrz: jaki rodzaj tożsamości można osiągnąć przez to, że się jest wielbicielem wybitnego gracza futbolowego? Jakie wartości powstają dzięki histerycznej euforii młodego tłumu na koncercie? Jak produkuje się wielkie boginie ekranu filmowego, jak Greta Garbo, Marlena Dietrich, Marilyn Monroe? Całkiem niedawno byliśmy świadkami niezwykłego wydarzenia w dziejach bałwochwalstwa, mianowicie pogrzebu księżniczki Diany. Kobieta bez wykształcenia, która krótkie swoje życie spędziła głównie na nadzwyczajnie skutecznej samoreklamie i budowaniu własnego kultu, stała się w chwili śmierci prawdziwym ośrodkiem tożsamości dla niezliczonych milionów ludzi. Miliony widziały ją jako „jedną z nas”, nie zważając na to, że ta młoda kobieta zapewne nigdy w życiu nie nosiła dwa razy tej samej sukni i nigdy nie podróżowała inaczej, aniżeli prywatnym samolotem albo, skromniej, pierwszą klasą. Jednak, jak się okazało, budziła nie zawiść, ale raczej poczucie tożsamości w marzeniu sennym. Telewizja stworzyła ją, oczywiście, ale jest wielu sławnych ludzi stworzonych przez telewizję, a niewiele tylko prawdziwych bożyszczy.

Wszechobecność takich objawów pseudoreligijnej czci w naszej kulturze skłania nas do pytania: jaki to rodzaj wiecznej potrzeby ludzkiej wyjaśnia nowoczesne bałwochwalstwo? Przy założeniu, że Bóg umarł i że my zmusiliśmy go brutalnie, by wycofał się z naszego świata i ukrył w nieprzeniknionej swojej samotności, dlaczego nadal produkujemy karykaturalne imitacje dawnego kultu religijnego? Mamy silną pokusę, by przypuszczać, że jest to nowoczesna postać hipotetycznego antropologicznego inwariantu i nie mamy pewności, jak go zdefiniować.

Najbardziej widoczną różnicą między bałwochwalstwem dzisiejszym i kultem religijnym, oprócz samej nieobecności odniesień do Boga, jest nieobecność jakichkolwiek wierzeń. Współczesne kulty nie wymagają żadnego wyrazu doktrynalnego, a tylko mgliście określonego, nieskodyfikowanego rytuału. Religia natomiast, jak ją znamy, nie jest nigdy czystym rytuałem; potrzebuje przynajmniej jakiegoś zbioru wierzeń, które wyjaśniają sens rytuałów. Jeśli więc jest istotnie taki inwariant, to nie ma on nic wspólnego z roszczeniami do prawdy. Podobieństwo do kultu religijnego leży gdzie indziej. Bałwochwalstwo zbiorowe jest po prostu projekcją wspólnych emocji lub emocjonalną *quasi-rzeczywistością*, które produkują tak bardzo potrzebne poczucie tożsamości. Wolno przypuszczać, że wszyscy ludzie żywią potrzebę takiego zbiorowego uczestnictwa w emocjonalnie naładowanym świecie, a to uczucie współnależenia odkrywamy zarówno w prawdziwym kulcie religijnym, jak w jego bałwochwalczych pastiszach czy w polityce, czy w sporcie albo w sztuce popularnej. Indywidualne czyny bałwochwalcze, jak intensywne doświadczenie miłości albo nieodpartej fascynacji, są inne, oczywiście, ale ujawniają te same cechy podstawowe: życie osobowe wydaje się pochłonięte przez coś lepszego, niż my sami, i daje nam poczucie bycia częścią wyższej rzeczywistości. Akt czci wznosi ku górze czciciela.

Nie jest prawdopodobne, by bałwochwalstwo znikło tam nawet, gdzie prawdziwy kult religijny jest nadal żywotny, jako że nowoczesne narzędzia techniczne sprawiają, że komunikacja, a tym samym wyłanianie się rzeczywistości zbiorowych, jest tak łatwe. Ludzie zawsze też tęsknili do takich religijnych kultów, które pozwalają im na zmysłowy, widzialny kontakt z tym, co boskie, czy też z siłami nadprzyrodzonymi. Różne ruchy sekciarskie zaspokajają dzisiaj tę potrzebę lepiej, niż wielkie kościoły, stąd należy sądzić, że inwazja różnych sekt i kultów będzie postępowała nadal. W oczach tradycyjnych religii są one nosicielami bałwochwalstwa, ale tradycyjne religie w świecie chrześcijańskim utraciły w znacznym stopniu zapał misjonarski i boją się, że będą ganione za nietolerancję. Potrzebują nowego języka i na razie go nie znajdują. Wydarzenia cudowne są częste, lecz zachodzą zazwyczaj wśród ludzi biednych i niewykształconych, a Kościół Rzymski nie potwierdza ich bez znacznych oporów. Zapewne osłabia to jego wpływ na dusze i ułatwia działalność ruchów sekciarskich.

Jeśli prawdą jest jednak, że żyjemy w tym sensie w wieku bałwochwalstwa, że świeckie namiastki są tak straszliwie potężniejsze aniżeli kult religijny, to jednak nie jest prawdopodobne, by ten ostatni obumarł. Kult małych świeckich doczesnych bóstw, które z konieczności znikną rychło i zastąpione będą przez inne bożyszcza, nie może zaspokoić tych potrzeb, na które odpowiada religia: wiecznotrwałej potrzeby życia we wszechświecie wyposażonym w sens, dającym cel i obdarzonym celem. Co więcej, ukryta desperacja wyłania się z pseudomodłów i pseudorytuałów skupionych wokół bożyszczy. Potrzeby religijne zapewne nie są doświadczane jako takie przez każdego, wolno jednak przypuszczać, że należą one właściwie do antropologicznych inwariantów i nie dają się zastąpić przez teorie nauko-

we. Gdyby miały naprawdę wygasnąć, oznaczałoby to, że gatunek ludzki przestał być tym, czym jest i coś innego zajęło jego miejsce, coś, o czym nic nie wiemy.

Why a molten calf? Idolatry in the face of God's death

Idolatry has an obvious biblical origin, but the author is puzzled by the possibility that it can also appear in lay, contemporary societies that seem to live without God. Kołakowski says that idolatry is not only present in our life but constitutes a major part of it. Various kinds of people are adored and revered — rock singers, famous actors, princess Diana. Attachment to these personalities is a projection of commonly shared emotions and creates an emotional vicarious reality that helps to establish a communal sense of identity. Kołakowski does not endorse this type of idolatry and finds the identity so established questionable. He concludes, however, that idolatry cannot be stopped, and if it were, the human race would cease to be what it is now.